# ROZMAITOŚCI.

**Dnia 2. Stycznia. № 1. Roku 1856.**

## RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

### I.

Niedawnemi czasy zwiedzałem miejsce gdzie się zaczyna nasza powieść; jest-to rodzaj folwarku w odległości dwunastu mil na zachód od Antwerpii, zamieszkany przez rolników, którzy zaledwie przypominają sobie nazwisko: Jana Daelmans.

Jakkolwiek malownicze jest-to ustronie, nienastręcza przecież nic ciekawego; powój i mech nadają zieloną barwę zgrzybiałym dachom; mury ukrywają swe rozpadliny pod zasłoną liści; kilkoro prosiąt tarza się w gnoju pośród kur i gołębi, a nieco daléj widać w oborze trzy krów jasnéj barwy żujących z rozkoszą soczystą koniczynę.

Co zaś najbardziéj zdobi to ustronie, jest-to rozległy step ciągnący się przed futorem, jak daleko wzrok zasięga; jest-to strumień, który płynie po za kwiecistym jego ogrodem przebiegając wodniste łąki; jest-to zielone pasmo olszyny i wierzb, towarzyszące srebrnéj jego wstędze śród stepu; a do tego wszystkiego dodajmy jeszcze nieograniczony błękit nieba, tajemniczy świerk koników polnych i miłośne świegotanie ptastwa, które w tém ustronném miejscu obrało sobie przytułek i ojczyznę.

Było-to pewnego poranku w roku 1807; słońce niewyjźrzało jeszcze zza widokręgu, i zaledwie ozwała się tu i owdzie jaka ptaszyna nucąc uroczysty hymn poranny na cześć przyrody. W głównéj części futora panowało również głębokie milczenie nocy; tylko szczupły ogień płonął z trzaskiem na szerokiém ognisku, zégar wybijał tętno, a w kącie napół ukrytym w pomroce, słychać było jednostajne furczenie wrzeciona.

Przy kądzieli siedziało młode dziewczę szczególnéj powierzchowności. Sądząc po jéj twarzy mogła mieć około lat szesnastu; ubior jéj nieochędożny i niepowabny wcale uderzał nadto lichotą i zaniedbaniem; ale niewinna jéj fizyognomia miała w swoim wyrazie coś tak dziwnego i wzniosłego, że mimowolnie pociągała uwagę i budziła w sercu jakiś niepojęty urok sympatyi. Niemożna ją by-

ło nazwać piękną, gdyż była blada i przezroczysta jak alabaster, i gdy jéj oczy czarne jak heban zaiskrzyły się pod długiemi rzęsami, wydawał się jéj wzrok nietylko surowym ale nawet dzikim; wszakże bywały także chwile, w których jakby pozbawiona czucia, wodziła zwolna dokoła swém posępném okiem i twarz jéj rozjaśniała się nagle promiennym uśmiechem, jak gdyby jakiś głos radośny szeptał do jéj serca: — wtedy była ona piękna, piękna jak kwiat więdniejący, który rozwija jeszcze swój kielich do słońca, chociaż zjadliwy robak przygryzł już jego korzeń.

Siedziała już tak prawie od godziny przy kądzieli, i można było sądzić, że stanowi część kołowrotu, tak mało zwracała uwagi na nić snującą się między jéj palcami; zdawało się, jakby rój myśli osiadł jéj zadumane czoło, świat zewnętrzny zniknął z przed jéj oczu, i jakaś niebiańska radość promieniła się na jéj twarzy.

Jakaż-to myśl radośna odbiła się z jéj serca na twarz śmiejącą? Ona sama nie wié nic o tém. Ale patrzcie, jéj piękne usta otwiérają się, ona śpiewa! Jéj śpiew powinien być zachwycający, jeżli będzie wyrazem jéj wzruszenia; jéj głos słodki i prawie czarujący, podobny do dzikiego dźwięku srebrnego puhara; jéj piosnka na skoczną nutę dziwna i zajmująca. Oto śpiewa:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!
Daléj do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona
Ten godzien snu!
Rik — Tik — tak
Rik — tik — tu!

Potém pogrąża się znowu w swém tajemniczém dumaniu.

I gdy tak młode dziéwczę siedząc nieruchomie i z pochyloną głową u kądzieli, zdaje się zapominać o całym świecie, zstępuje zwolna po schodach jakaś podeszła niewiasta, i wchodzi do sali. Po rozkazującém spojźrzeniu, jakie zwraca na przygasły ogień i młodą dziéwczynę, można się domyśléć, że to nie kto inny, tylko sama dzierzawczyni. Jéj oko zapala się gniewem, szybkim krokiem zbliża się do nieruchoméj marzycielki i daje jéj tak silny policzek, że dziécię omal niezleciało z krzesła.

— „A tóż co znowu? — krzyknęła dzierzawczyni trzęsąc się ze złości. — Próżniaczko przeklęta! Ogień wygasł, a ty się bawisz i śpiewasz? Ruszaj co prędzéj rozpalić ogień, albo kijem cię ocucę, ty ladaco do niczego!“

Dziéwczę podniosło się zwolna i odeszło ku ognisku, by wykonać tak po grubiańsku wydany rozkaz dzierzawczyni. Musiała być już oddawna przyzwyczajona do takiego okrucieństwa, gdyż marmurowa twarz jéj niezdradzała ni smutku ni cierpienia; tylko plama czerwona na jednym policzku świadczyła, że raz otrzymany musiał być bardzo bolesny.

Gdy po chwili przekonała się dzierzawczyni, że ogień płonie pod kotłem, stanęła u schodów i zawołała z całéj siły:

— „Hejże, wstawajcie leniuchy! wstawajcie, albo sama was pobudzę! Nuże

Teklo, Basiu, Janie! Wstawajcie, już czwarta godzina!“

W kilka chwil potém przywołana czeladź zeszła do sali. Tekla i Basia byłyto córki dzierzawczyni, i żadna z nich niemiała jeszcze lat dwudziestu, zresztą jak większa część wieśniaczek były otyłe, wielce rubaszne, i nieodznaczały się żadną osobliwością.

Młody zaś człowiek, którego matka nazwała Janem, mógł mieć najwięcéj lat siedmnaście; rysy jego twarzy były grube, ale regularne i męzkie; jego wzrok błąkający się z przedmiotu na przedmiot, i jego ruchliwa fizyognomia świadczyły, że chociaż natura nieobdarzyła go zbyt wielką pojętnością, był-to przecież chłopak przystojny i żwawy; niebieskie oczy i długie jasne włosy nadawały jego postaci wyraz dobroci i słodyczy, które to przymioty posiadało istotnie jego serce.

On sam tylko zbliżył się do młodéj służącéj, stojącéj przy ognisku i rzekł cichym głosem: „Dzień dobry ci Leno!“ — na co dziéwczę odpowiedziało ciszéj jeszcze: — „Dzień dobry, Janie, dziękuję ci.“

Nim każde z mieszkańców futoru odeszło do swéj roboty, dano kawę na stół, i dzierzawczyni ukroiła każdemu kawałek chleba z masłem. Biednéj Lenie dostała się kromka, która niewystarczyłaby nawet na zaspokojenie głodu dziécięcia. Mimo to niezdawała się ona zważać na to wcale, i nawet jéj oczy nieużalały się na nieczułość dzierzawczyni. Jan spoglądał na biedną dziéwczynę z głębokiém politowaniem, i gdy spostrzegł, że zjadła już większą część owego chleba, podsuwał jéj kęsy swego każdą razą, gdy matka odwróciła oczy.

Po śniadaniu Jan i jego siostry wyszły z domu do swojéj roboty dziennéj. Lena pozostała w futorze z dzierzawczynią dla robienia masła, do czego używano w tych stronach rodzaju młynka, którego koło poruszał pies przyuczony.

Gdy już śmietanę wlano do maśnicy i wszystko było gotowe do robienia masła, wyszła dzierzawczyni, by przyprowadzić psa do koła, ale zastała go nieżywym w budzie. Na ten widok porwał ją gniew wściekły, wpadła do izby jak szalona, uderzyła w twarz biedną dziéwczynę, i włócząc ją za włosy po izbie krzyczała przeraźliwie: — „Pies zdechł, nędzna poczwaro! Tyś niedała mu jeść wczoraj; ale poczekaj, ja cię nauczę!...“

I znowu zaczęła bić nielitościwie biedną, milczącą dziewczynę.

— „Ty milczysz dopóкąd cię nieutłumię, uparta poczwaro?“ — wrzasnęła znowu. — „Może to nieprawda, żeś psu niedała jeść wczoraj? Mów, albo połamię ci ręce i nogi!“

— „Pani,“ — rzekła Lena z rodzajem nieczułości — „ja dałam psu jeść wczoraj. Miska stoi dotąd jeszcze pełna przed jego budą.“

— „Jaka miska pełna, ty bezczelna kłamczyni? To dopiéro dziś postawiłaś mu jedzenie. Ty myślisz, że ja się nieznam na takich sztuczkach?.... Ale poczekaj, pożałujesz ty tego.... Będziesz

mi sama obracać koło.... Daléj, marsz do koła!“

Ten nowy rodzaj okrucieństwa przeraził widocznie biedną dziéwczynę, gdyż zaczęła drżéć na całém ciele i stała na środku izby z pochyloną głową i obwisłemi rękoma jak skazana, którą mają prowadzić na rusztowanie. Mimo to nie rzekła ani słowa. Ta cierpliwa rezygnacya niepodobała się dzierzawczyni. Nieposiadając się ze złości porwała gałąź chrustu, który leżał przy kuchni, i wzniósłszy ją do góry jak gdyby chciała roztrzaskać głowę dziéwczynie, powtórzyła swój rozkaz: — „Daléj, marsz do koła! Idziesz, czy nie?“

Lena upadła na kolana, złożyła ręce jak do modlitwy i wzniósłszy błagalny wzrok do swéj prześladowczyni, rzekła przytłumionym głosem: — „Ach, pani, miéj litość nade mną! Ja pójdę do koła; tylko niebij mię więcéj, na miłość Boga!“

W téj chwili otwarły się drzwi gwałtownie i Jan wpadł do izby; z iskrzącém okiem przyskoczył do Leny, podniósł ją z ziemi i rzekł do matki z przytłumionym gniéwem: — „Matko, jak możesz być tak okrutną? Zawsze to samo: nigdy niemogę wyjść z domu, bym niesłyszał, że łajesz nieszczęśliwą Lenę i katujesz ją jak zwierzę. Jeźli pragniesz jéj śmierci, to lepiéj zabić ją od razu! Czy niewidzisz, że słaba i że upada pod twemi razami?....“

Przy tych ostatnich słowach puściły się łzy z oczu młodzieńca, i mówił daléj błagającym głosem: — „O matko, daj już pokój biednéj dziéwczynie, albo inaczéj, powiadam ci wyraźnie, odejdę z piérwszym lepszym pułkiem, który będzie przechodził tędy, i nieujźrzysz mię już nigdy więcéj w mém życiu!....“

— „Ja powiadam, że ona musi iść do koła! To ją nauczy, że drugi raz nieda psu zdechnąć z głodu“ — krzyczała dzierzawczyni.

— „Co mówisz matko?“ — zawołał Jan głosem napół przestrachu a napół oburzenia. — „Ona, Lena? do koła! O! matko, tego już za wiele. Prędzéj, powiedz, że się wyrzekasz téj szkaradnéj myśli, — zaraz, natychmiast!“

— „Cóżto, chcesz mię nastraszyć?„ — rzekła matka z szyderczym uśmiechem.— “I cóż ty mi zrobisz?“

— „Posłuchaj, matko,“ — odrzekł Jan z uroczystą powagą, która sprawiła głębokie wrażenie na dzierzawczyni — „jeźli Lena pójdzie do koła, ja opuszczę ten dom, ucieknę, choćbyś mię łańcuchem przykuła.... Wierzaj mi, matko, wierzaj mi; albo inaczéj złożę ci na to straszną przysięgę!“

Teraz przyszła koléj na dzierzawczynię zadrzeć z przerażenia i złości, że musi ustąpić przed groźbą swego syna. Był-to jedyny mężczyzna w całym futorze, i miał już dość siły i doświadczenia w gospodarstwie, by mógł zastąpić zmarłego ojca. Jego strata przywiodłaby do upadku całe gospodarstwo. Dzierzawczyni zgrzytnęła tylko w uniesieniu wściekłego prawie gniewu, i pożérając pło-

mienistym wzrokiem biedną, drżącą bez ustanku dziéwczynę, zawołała: — „Dobrze! ale niech mi zejdzie z oczu natychmiast! Ruszaj, próżniaczko; wyprowadź białą krowę na paszę i niewracaj mi piérwéj, jak za cztéry godzin, inaczéj sprawimy się z sobą! — A ty, Janie, powiedz Tekli, niech przyjdzie robić masło.“

Lena wyszła drżącym krokiem z izby, by zabrać krowę z obory. Przybywszy do bramy, obróciła głowę, i oczy jéj zalane łzami oparły na Janie długie i smutne spojźrzenie, które zdawało się mówić: „Dzięki ci, dzięki, — ty bronisz konającéj! Odpłacę ci to modłami memi, gdy będę tam wysoko w niebie.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# ŻÓŁW.

Głęboko pod wodami, w spodnich bezdenniach morskich ścielą się równie jak na suchym lądzie łąki, pola i lasy; w głębiach morskich dyszy cały świat zwierząt i roślin, liczniejszy jak na lądzie w powietrznym żywiole. Rozlegają się przestrzenie łąk o trawach wyższych stokroć niż nasze drzewa najwyższe, rosną i lasy niezmierne w niedocieczonych gatunkach, okryte liściem drobniejszym niż u akacyi albo paproci. Pod wodami, zupełnie jak na powierzchni ziemi, napada żarłoczny i silniejszy zwierz na słabsze stworzenia, w głębiach morskich przesiaduje i tygrys i hiena i wilk, tylko że w ryb postaci, buja i orzeł morski, co obyczajem sokoła i sępa wznosi się w górę i lotem strzały na zdobycz uderza. Nurkom pogrozą śmierci, siedzi w śródziemnem morzu roch rozłożysty, w kształcie chmury obwisa nad nimi, i w chwili niedopatrzonéj przywala, tłoczy, pożera. A jak na łąkach naszych pasą się trzody i stada koni, owiec i bydła, przechowują się podobnie w pasznistych lasach podwodnych spokojne i zgodliwe żółwie.

Żółw to opatrzność! Gdy żeglarzom po wodach południowych nie stanie w podróży zapasów mięsiwa, albo gdy zasoby zaległe zcuchną, opatrzne nieba wysyłają z-pod głębi morskich żółwia, ażeby zgłodniałych mięsem swojém posilił, słabych orzeźwił, wycieńczonych nakarmił, wzmocnił. Żółw rozpływa im się w polewkę pożywniejszą niż z wołowiny, i sieje się dobrodziejstwem nie żeglarzom jedynie, ale i licznym plemionom zamieszkałym ponad wybrzeża morskie, już tém że i sam wychodzi na ląd, już że ludziom znosi swe jaja. Jaja te oprócz że dają wyśmienite pożywienie jak jaja kurze, jeszcze użyczają oleju palnego, i omasty zamiast masła do potraw. Wydaje więc żółw z siebie i to co kura niesie, i to co mamy z bydła. Nie koniec na tém! Czego ani z kości ni z rogu wołego, to tarcza użycza żółwia; z niéj rzeźbki, ozdoby, bawidełka, z niéj puszki, tabakierki, trzonka, osady, co więcéj, czółna i gondoły nawet.

Prawdziwie do zastanowienia co to ten żółw! Nie bydlę, bo niesie jaja jak ptak; nie ptak, bo się sunie po ziemi jak płaz; a przecież nie jest płazem choć w nim ni kości ni gnatów, bo dźwiga na sobie szkaplerze puklaste, płaszcz jak stal twardy, zwinięty w trąbę spłaszczoną, z niéj jak z chałupki okienkiem kiedy chce wygląda; zwierzę co żyje i żywie w wodzie, a przecie na ląd wyłazi podychać powietrzem, nie ma ni płetw ni skrzeli jak ryba, lecz ma po wężu głowę, a po jaszczurce cztery łapy i ogon. Prawdziwe

dziwo! Stworzenie dwuduszne, amfibium, jedyne w swoim rodzaju.

Ależ amfibium co jest? Mówią że zwierzę co żyje na lądzie i w wodzie. Nie wiele z tego rozumu; taką rzeczą i wodne szczury byłyby dwuduszne, i nurki ptasze musiałyby być amfibia. Nie po sposobie żywienia się idą rodzaje zwierząt, jak téż nie po tém miarkują się rasy człowiecze, że ci się jarzynami, tamci mięsiwem żywią. Fizyologowie inaczéj sądzą, znać podsłuchali prostego ludu, który — kiedy kogo nie sposób odmienić — powiada o nim: „Już-to jemu jest we krwi że takim.“ Otoż fizyologowie w tém tylko wyżsi przed nieukami, iż rozpoznali jak się ta krew wyrabia, iż dopatrzyli różnicy we krwiach, i według niéj osądzili, że co ze stworzeń zwierzęcych ma krew zimną a białą, to jest amfibium — zwierzę dwuduszne, łyka powietrze ale je nie rozrabia jak inne zwierzęta, nie ma tych miechów w płucach, któremi inne zwierzęta rozdmuchują powietrze na właściwe tworzywa, tętném statecznéj pracy krew rozgrzewają a wydobyciem tlenu farbują. Żółw, żaba, ropucha, krokodyl w to się nie bawią, co które z nich w siebie powietrza wsiąknie, to i w wnętrzu swém trzyma, aż się samo od siebie, albo Bóg wié jakim sposobem strawi. A czy się strawi za dzień, za dwa, za rok lub poźniéj, nikt nie zaręczy, bo się wydarzało wyłupać nie raz żabsko z kloca drzewnego, albo z opoki; pewnie mogła tam wiekami siedziéć, a przecie żyła. Więc u tych zwierząt powietrze nie jest warunkiem życia; ich życie widocznie nie na tém co u zwierząt ssących polega. Wydłubywano żółwiom mózg z głowy, a żółw nie zdychał; morzono głodem po roku, i żółw żył; zgoła życie zwierząt dwuduszuych jest tak zawiędłe, że głowę uciąć, a członki jeszcze tygodniami drgają.

A przy tém wszystkiém jeszcze ma żółw puklerz na grzbiecie, puklerz pod brzuchem, że się i pod ogromem ciężarów nie poda, tak mocny. I same te puklerze osobliwością. Są to kości, które żółwiowi nie jak u innych zwierząt wewnątrz ciała, ale rosną na dworze; na grzbiecie widać że to są pozrastałe żebra, a pod brzuchem że są odnogą deki piersiowéj. Podbrzuszny puklerz spłaszcza się w talerz, a grzbietny w tarczę puklastą, po bokach w około sklepiają się razem z małym otworem na dwie łapy i łeb z przodu, i na dwie drugie łapy i ogon z tyłu, zresztą przylegają do ciała żywotnie sklejone. Tarcz grzbietna jest łupka w drzaski, których ku środkowi zwykle narasta trzynaście, a po brzegach dwadzieścia i cztery; poszukiwane są bardzo, bo to z nich ów szylkret znamienity.

Zachodzą wprawdzie różności, bo gatunków żółwia jest wiele, dotąd już trzydzieści i trzy naliczono, a są między niemi poplona morskie, są rzeczne, są i lądowe nawet. Po wybrzeżach morza śródziemnego mnożą się tak zwane żółwie greckie, co się w wycieczkach lądowych kochają, i już po temu mają łapki stosowne; sterczą im u łapek palce krępe, krótkie do pazorów przyrosłe; co przeciwnie u rzecznych, palce są dłuższe i z błonką jak u gęsi i kaczek, a u morskich jeszcze wydatniejsze bo skrzeliste jak u ryby. A co za różnica rostu! Są żółwie że nie okryją dłoni małemu chłopcu, ale są inne co wielkością przechodzą spasłego wołu. Tarcza sama nie jednostajna u wszystkich; u lądowych wypukła mocno, koloru jaśniejszego w cętki i zakrętki żółte i brunatne; u rzecznych tarcz płytsza, płowo-zielonkowata w łatki żółte, ozdobnością wcale nie dopisuje mozajce lądowym. Lądowy żółw rad przebywa w lasach i po pagórkach, w październiku na zimę wgrzebuje się na dwie stopy pod ziemię, i dopiéro w kwietniu wyłazi; rzeczny za powietrzem górskim nie tęschni, pluszcze się po błotach albo się pławi za żérem w wodach stojących, dopiéro pod zimę zarumia się w grunt suchy lecz na pół stopy tylko. Czyli i morskie żółwie na ten sposób zimują, tego nie dostrzeżono; na lądzie widywano ich z ja-

jami tylko, i uważano że byle poznosiły, sznurem gonią do dawnego żywiołu.

Za to stręczy się żółw morski z innych osobliwości, a najprzód ogromem swoim, że rzeczne żółwie przed nim i lądowe jak karlątka wyglądają, osobliwie przed żółwiem „olbrzymim" zwanym. Wystaje ten żółw olbrzymi z-pod wody jak twierdza ruchoma, w dłuż na ośm stóp do dziewięciu, w szerz na cztery, tak że na grzbiecie stanąć mu może wygodnie siedmiu, ośmiu chłopów, i obarczyć ciężarami na cetnary, a czuć tego nie będzie. Sam zaś waży 8—9 cetnarów. Nie dowierzali uczeni Pliniuszowi, kiedy o mieszkańcach znad morza czerwonego donosił, że ze szkałuby żółwiéj czółna sporządzają; gdzieby-to takiego żółwia! mówiła szkoła, i bardzo-to z niéj chwalebnie że tyle oględna, radziśmy gdyby podobnie we wszystkiém. Ale dziś już dzieciom wiadomo, że u Indyan amerykańskich całe gospodarstwo bywa z muszliska żółwiego, czółna, niecki, dzieże, tarcze, i co chcą robią z tego. Ale bo téż właściwa siedziba olbrzymiego żółwia to w morzach amerykańskich, osobliwie między zwrotnikami, pod równikiem szczególnie. Tu się wylęgają. Samica znosi rocznie do 300 jaj w piasek, jaja dwa razy tyle co gęsie, ale kuliste i powleczone skórą jak pergamin. Doskwierzona upałem słońca wyłazi po trzech tygodniach z jaja poczwarka żółwia, wzmacnia się i czerstwieje kilka dni na słońcu, a potém prościusieńko pędzi do morza. A dobrze im z tém, że na prost rozum ich pędzi, bo zwykle stadami czatuje na nich ptactwo i zwierz żarłoczny, a i ludzie zasiadają, przecież wszystkich nie sposób wyłowić, taka ich moc się wylęga. Mięso z nich smakuje jak cielęcina, tłuszcz jest ślicznie zielony, ale nam w Europie nie do smaku, trąci swędem; za to zupa z tego żółwia ma być prawdziwy specyał. Poławiają go téż dla mięsa i wielki handel prowadzą; prowadziliby nim większy, gdyby miał drzazgi szylkretu na sobie, ale zamiast drzazg obściela mu szkałubę skóra nakształt rzemienia prężna, koloru zielonego, i od niéj to nazwano olbrzyma tego „żółwiem zielonym".

Ma ten olbrzym godnego współzawodnika w żółwiu zwanym „la Cavanne" tyle co po naszemu Maczuga; między żółwiami wilk-to prawdziwy, tnłub czarny, łeb pałczasty, jak maczuga, gardziel szeroki, górna szczęka groźnie wydatna, a zajadły że często i krokodylom łapy podcina, i nie pasie się trawą jak żółwie zwykle, ale ściga mięsne stworzenia, zapędza się z-pod równika za żérem nawet w morze śródziemne, i koło Sardynii często go poławiają. Lecz ostrożnym być musi, kto go chce złowić, bo żartów nie zna, tnie paszczą jak kosą, a drążek zeżmie jak zieleń morską. Chociaż ogromem równy żółwiom olbrzymim, ale pożytku nie tyle z niego, nawet mięso niesmaczne, jak żyła łykowate, trąci ścierwem, dobre chyba na smarowidło, bo ma wiele oleju w sobie.

Wcale co innego jest trzeci z olbrzymów, żółw „Pnzdro" wielkości téj saméj niemal co i tamte, ale kształtem odmienny, bo wygląda jak skrzynia w czworobok, i ma wole jak mają pelikany. Mięso z niego tak delikatne, że się rozpływa jak masło, nawet tarcz sama jest miękka.

Najpiękniejszy między niemi jest Jastrzębiec, luboć mniejszy, bo ledwo dwóch-trzech stóp dorasta, ale główkę ma kształtną z nosem jak u jastrzębia kobuzim, a nie oceniony z tych drzazg, co ostrzępiają mu tarczę; i od nich-to nazywają go także Żółw Drzazga. Luboć mięso z niego nie bardzo smaczne, za to jaja arcy przednie, białe, krągłe jak gałki i bardzo pożywne. Drzazgi łupią się, a w gorącéj wodzie mięknieją, i dają się przerabiać w co kto chce; z nich téż mamy te wszystkie szylkrety misternie wyrabiane. Handel niemi wielki na Antyllach, gdzie ich stolica główna i gdzie najmocniéj się poławiają.

Chociaż tyle od siebie różne, zawiści między temi żółwiami niema — wszystkie z-pod

jednéj strefy, wspólnie też goszczą o pewnych porach na wyspach zwanych w hiszpańskiém po ich nazwisku „Tortugas!“ są to wyspy a raczéj naspy piaszczyste od przylądka Florydy na wschód, bezludne i nagie, wygrzewaliska płazom, dla ludzi wstrętne, w potrzebie tylko gwałtownéj mieszkalne. Ale co to może chciwość, łakomstwo, przemysł kupiecki i duch rozbójniczy! Przesiadywali na nich owi sławni Bukanie i flibustyery, odwiedzają je handlarze szylkretem, a zamieszkują nędzarze indyjscy, co się bawią połowem żółwiów. Żółwie zachodzą na nie rok rocznie znosić o pewnych porach swe jaja w piasek, a rozpłodek zwabia stadami ptactwo drapieżne i gromady Eggrów czyli zbieraczy jaj, którzy niemi ładują statki i po dalszych stronach rozwożą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# Nowe dzieła.

## Podróże Ibn Batuty.

*Collection d'auteurs orientaux.* Pod tym tytułem zaczęło Towarzystwo Azyatyckie trzy lata temu wydawać dzieła wschodnich autorów. Wprawdzie Rząd sam wydaje już od 30 lat blisko podobne zbiory, ale iż że zbytkiem królewskim, dzieła tego wydania stały się dla ogółu publiczności mniéj przystępne. Przepychem swoim stawią wzór i pomnik pracy drukarskiéj, ale ż mniejszą korzyścią dla uczonych bo i drogie, i w formacie niewygodnym, a przytém w wydaniu ociężałe, bo dopiéro w ośmiu tomach wystąpiły.

Towarzystwo pojmując tyle niedogodności, postanowiło ze swéj strony obalić ów mur chiński, co zapiera skarby literackie Oryentu, i zaczęło wydawać skarby historyczne Azyatyckich autorów w edycyach poprawnych, wygodnych, z textem francuskim obok, a do tego w cenach i dla mniéj zamożnego przystępnych. Gorliwości jego zawdzięcza świat wydanie trzech dzieł; wprawdzie nie w zupełności jeszcze, ale już w większéj części posiada Europa: Podróże Ibn Batuty, Dzieje świata Massudego, i Żywot Mahometa jak go opisał Ibn Hiszam sławny biograf proroka Muzułmańskiego, dzieło nawet w Azyi bardzo rzadkie, a źródło pierwotne wszystkich poźniejszych pisarzy mahometańskich.

Pierwsze dwa tomy podróży Ibn Batuty już wyszły, trzeci jest na ukończeniu; dzieje Massudego wyjdą w piérwszych miesiacach bieżącego roku, z niemi i Żywot Mahometa.

Podróże Ibn Batuty są niezmiernie ciekawe. Batuta rodził się w r. 1302 w Tangerze Marokańskim; gorliwy Muzułman puścił się w r. 1325 w pielgrzymkę do Mekki, a uniesiony widokiem ludu ze wszystkich stron świata zgromadzonego, i wdziękami podróży i rozmaitością wrażeń przejęty, rzucił się w odmęt świata folgując ciekawości i uczuciom serca. Podróż Muzułmanowi łatwa, a dawniéj bywała jeszcze łatwiejsza; gościnność wszędzie, zwłaszcza że Arab zawsze na małém poprzestaje, a i wstęp dla takich nie trudny, którzy się szczycą zwidzeniem Mekki, i jakowyś zasób nauki posiadają. A zalecać Batutę musiała nauka, roztropność, i wielki rozum, gdy z podróży jego wyczytujemy, jak ten człowiek bez majątku świat cały przebywa, gdzie stanie wszędzie pomoc i sposoby utrzymania się znachodzi, lata spędza tam gdzie mu się upodobało, wszędzie się żeni a odchodząc rozwód bierze, pozyskuje łaskę u książąt, wysokie urzęda piastuje, nagle bez jawnego powodu dostojeństw się zrzeka, i między pustelniki wchodzi, wiedzie święty żywot anachorety, w rozpamiętywaniach się gubi aż do nadwątlenia sił żywotnych; wkrótce występuje w godności Arcy-Kadego w Delhi i idzie w posły Wielkiego Mogoła do Chin, zwiedza Rosyę, Konstantynopol, Persyę, ostindyjskie wyspy, i wschodnią Afrykę, i spoczynku dusza niema póki głębi Afryki nie przeniknie, i w Tumbuktu lat kilka nie osiądzie. Ztąd dopiéro po lat trzydziestu prawdziwéj włóczęgi powraca do Tangieru i pod strzechą rodzinną spisuje zdarzenia dziwne, dziwnéj podróży swojéj.

Mało dzieł, które by w tak żywym świetle stawiły obraz ówczesnego życia Mahometanów, a nawet śmiało wyrzec można że i nie znaleźć ksiąg, któreby dawały i objaśniały niezliczone data do historyi i geografii w takiéj dokładności, uzupełnieniu i prostocie jak księgi Batuty podają. Całe dzieło składać się będzie z pięciu tomów, zawiera text w oryginale, a pod spodem słowne tłumaczenie francuskie, pióra pp. Defremery i Sanguinetti, z skromném dodaniem objaśnień na końcu każdego tomu. Każdy tom liczy 500 stronnic ścisłego druku, a kosztuje siedm i pół franka.

Główny Redaktor **M. Srzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*